

OBYCZAJE WARSZAWSKIE

NUMERY DYBUKA W TEATRZE I OBOZOWE NA RĘCE PASAŻERKI AUTOBUSU



SYLWIA CHUTNIK

PISARKA I DZIAŁACZKA
SPOŁECZNA

• Skóra starego człowieka wygląda jak list z przeszłości. Patrzałam na pewne przedramię przez kilka przystanków. Obok stała pani, na oko ponadosiemdziesięcioletnia, i próbowała złapać równowagę w zatłoczonym autobusie. Ścisnęła poręcz, aż w pewnym momencie rękaw płaszcza podjechał nieco wyżej i zobaczyłam wiadomość ze świata minionego. Numery obozowe. Ledwo widoczne, właściwie zamazane jak źle odbita kalkomania. Poupychane między

zmarszczkami skóry wiszącej na kościach. Absurdalne. Teraz, w pędzącym mieście. Pierwsza myśl: wyglądają, jakby ktoś zanotował sobie numer telefonu długopisem na rękę, bo nie miał kartki. Jak oczy ducha, który dziwnym trafem dostał się do terazniejszości, buszując między współczesnymi ludźmi. A ci nic nie zauważają, spieszą się do swoich spraw. Spojrzałam na twarz pani obok mnie. Nie była duchem, oddychała i ruszała się jak cała reszta. Usta pociągnęła czerwona szminka, cienkie włosy zaczesalała do tyłu. Wreszcie wysiadła z tymi swoimi siatkami, z tymi swoimi przedramionami naznaczonymi historią.

Kilka dni później na widowni Teatru Żydowskiego obserwowałam

dziewczynę opętaną duchem zmarłego kochanka. Dybuk szalał na scenie, brawurowa Magdalena Koleśnik jako Lea miotła się i wygrażała wszystkim naokoło. Krzychała tak głośno i długo, że miało się ochotę krzyżeć razem z nią. Zdzierala z siebie ubranie, dawała sobą pomiatać. Swojego ciała użyczyła innemu człowiekowi, który mieszał się z jej rozpaczą, i nie wiadomo już było, czy to przeszłość do nas wrzeszczy, czy ta młoda kobieta.

I ja też nie wiedziałam, czy obozowe numery to pocztówka z daleka, czy raczej niemy krzyk weiskający się w nasze uszy. Wbrew naszej ludzkiej wytrzymałości. Bo po co znowu wywoływać duchy, żydowskie „Dziady” wskrzeszać na scenie? A żonki-

le kłaść na tym samym placu przed pomnikiem Bohaterów Getta od tyłu lat. I płakać. Nie lepiej zapomnieć w poczuciu ulgi i oczyszczenia?

Dybuk w teatrze wił się w nieskończoność. To wygaszał i dawał przestrzeń innym bohaterom, to znowu zawłaszczal i kręcił się w kółko jak dziecinny bączek. Udawał postaci z horroru, z kreskówek dla dzieci lub kabaretowe gwiazdy. Targał włosy Lei i walczył w niej o swoją historię. Przed oczami miałam wciąż tę staruszkę z autobusu. Wyobrażałam sobie, że jest ze mną na widowni i uczestniczy w egzorcyzmach. Że jej numery powoli znikają z ręki, bledną, wyparowują. Że jej skóra staje się gładka i napięta. Jakby nie było tamtych lat i jakby nic się nigdy nie wydarzyło. Koniec spektaklu, dy-

buk wreszcie przestał nękać dziewczynę. Ale nic się dobrze nie kończy, cholera, wszyscy bohaterowie muszą położyć się i czekać na swoje. Na ostateczne. Czy w tym mieście mogłoby się coś wreszcie dobrze skończyć?

A potem myślę o numerach na ręku. Że jednak ta pani z wytatuowanymi numerami od tyłu lat żyje. A były wobec jej egzystencji plany zgola inne. I że ona robi zakupy i martwi się, że przeoczy przystanek. Żyła przeszłości może i siedzi przyczajony w ciele, ale jest spacyfikowany codziennością. Tymi zwykłymi czynnościami, które musimy wykonać, aby jeść, aby mieszkać i cieszyć się kwiatkami na balkonie, które nam właśnie zakwitły. Dybuki są do wygnania, ja-koś zaczęłam w to wierzyć. ●